

Joachim Bahlcke, *Śląsk i Ślązacy*,

Warszawa 2001, praca zbiorowa, ilustracje, tabele, 447 stron

Jest to książka przedziwna i szokująca. Działające w Polsce „Wydawnictwo Naukowe Scholar” wydało ją w tłumaczeniu z języka niemieckiego w przekonaniu – tak należałoby sądzić – że zarówno niemiecki, jak i polski czytelnik znajdą w niej rzetelne ujęcie dziejów Śląska zgodnie z wymaganiami jak najlepiej pojętej prawdy, traktujące z szacunkiem zarówno niemieckiego, jak i polskiego czytelnika. Można było oczekiwać, iż wydawnictwo niemieckie, mniające się Naukowym, takie oczekiwania spełni. Naukowy „Scholar” przyniósł jednak czytelnikowi polskiemu same rozczarowania, bo autorzy pod pozorem prawdy historycznej i naukowej jakoby bezstronności postawili sobie za zadanie „ukazanie”, że Śląsk był zawsze niemiecki, wszyscy Ślązacy Niemcami, a to, co polskie, w dziejach regionu przejawiało się tak nieznacznie, iż niemal nie warto – według autorów – o tym wspominać.

Takie założenia w sposób nonszalancki formułuje się we wstępie (s. 11–12). Autor używa tu określeń niby pięknie wystylizowanych, aby przydać szlachetnego blasku w istocie przewrotnym stwierdzeniom. Otóż ze wstępu polski czytelnik dowiaduje się, iż „granice Śląska „zatarły się... i zagubiły w świadomości Ślązaków”. Nie jest to jasne, ale w domyśle należy przyjąć, że Śląsk znalazł się jakoby poza Śląskiem, bo wielu jego dawnych mieszkańców po 1945 roku znalazło się poza Śląskiem, stąd tytuł dzieła: „Śląsk i Ślązacy”. Temu celowi, jak zaznacza się we wstępie, służyć ma „kompozycja” pracy, notabene – z gruntu nieprzejrzysta, jakby celowo zagmatwana.

Podstawowy motyw, który skłonił autorów do przygotowania nader osobliwego przedstawienia dziejów Śląska, wynika z faktu, jak czytamy we wstępie, „iż niemieckie krainy wschodnie znalazły się po 1945 roku na ogół w innych kontekstach narodowych”, ale nie wymknęły się „z historycznego kontekstu Niemiec”. Eufemistyczne „konteksty narodowe” brzmią sympatycznie, ale skazują czytelnika tylko na domysły. Autor niewątpliwie chce dać do zrozumienia, że wobec „kontekstu Niemiec” „inne konteksty narodowe”, w tym nade wszystko kontekst polski, są bez znaczenia. Brzmi to na nutę „Deutschland, Deutschland über alles”.

Zdaniem autora, książka „po raz pierwszy” omawia dzieje Śląska i los jego mieszkańców nie tylko do 1945 roku, ale i po tej dacie, do czasów współczesnych, a zatem „nie tylko dzieje wypędzonych z ich ojczyzny Ślązaków, lecz również dzieje Śląska pozbawionego dawnych jego mieszkańców względnie zamieszkanego przez ludność świeżo przybyłą”. Czytelnikowi należy się wyjaśnienie, że to ostatnie, delikatne określenie „ludność świeżo przybyła” dotyczy Polaków wypędzonych z polskich kresów wschodnich i zapędzonych m.in. na Śląsk, co zostało zawinione właśnie przez Niemców.

Zgodnie z zapowiedzią we wstępie – książka omawia w ogóle „mnogość nie opracowanych (sic!) kwestii i problemów”. W uzasadnieniu założeń pracy czytamy: „Podjęcie tych kwestii zyskuje poza wymiarem naukowym również wymiar polityczny, którego nie można nie doceniać”. Dlaczego samo „podjęcie kwestii” zyskuje wymiar naukowy i czym ten „wymiar” jest, tego się nie wyjaśnia, a w jaki sposób rozumie się „wymiar polityczny”, o tym we wstępie milczy się dyskretnie. Jeśli jednak naukę historyczną stawia się na jednej płaszczyźnie z polityką, budzą się pełne niepokoju wątpliwości: czy historia ma służyć polityce według jej zmiennych przecież, nieraz chimerycznych wymagań, czy też historia ma być dyrektywą dla polityki. Po zaznajomieniu się z książką czytelnik nie ma wątpliwości, że autor wybrał pierwszy sposób podejścia, z czego wynika wybiórcze traktowanie faktów historycznych i taki ich opis, aby to odpowiadało wymogom polityki. Ostatecznie we wstępie stwierdza się: „Historiografia musi przeciwdziałać zapomnieniu, aby historia pruskich prowincji wschodnich pozostała częścią niemieckiej przeszłości, musi ona zarazem krytycznie przeanalizować owe dzieje oraz spopularyzować wyniki tej analizy, tak aby zapobiec wszelkiej ideologizacji i instrumentalizacji”. Bardzo szlachetny ton pobrzmiwa w tym stwierdzeniu, bo któż by się ośmielił kwestionować zadania historiografii przeciwdziałającej zapomnieniu? Okazuje się jednak, że są sprawy przeszłości, o których autor świadomie zapomina a nawet takie zapomnienie nakazuje, pomijając fakt, iż „wschodnie prowincje” zostały wcześniej zagarnięte przez Prusy w wyniku ich imperialnej, zaborczej, nacjonalistycznej, antypolskiej polityki. Gdy historię zaprzęga się do służby polityce, trzeba zrezygnować z prawdy historycznej. Tym bardziej musi bulwersować tyleż arbitralne, co przewrotne, a przy tym niejasne nawoływanie, aby zapobiec „wszelkiej ideologizacji i instrumentalizacji”. Autor nie wyjaśnia, co przez to rozumie, czyją instrumentalizację ma na myśli, ale dla uważnego czytelnika oczywista jest w książce zarówno ideologizacja jak i instrumentalizacja, oczywiście według zamierzeń autora. Takie są koszty służby polityce przez historyka przy jego rezygnacji z pełnej, nie upozowanej prawdy historycznej. W książce zapewnia się, że daje ona „wyczerpującą dokumentację obecnego stanu badań”, w rezultacie ma być „czytelnym podręcznikiem”. W istocie nie jest ani jednym, ani drugim.

Trudno nie dostrzec po prostu pychy i prawdziwego tupetu w stwierdzeniu, że odpowiedzialne zadanie „powierzono wyłącznie badaczom młodej generacji”, gdyż to jakby przez siłę wzbogaca prace „o nowe wątki myślowe i metodyczne, ukazują obrazowo, jak w obrębie niemieckich badań nad tą częścią Europy krok po kroku dokonuje się zmiana pokoleń”. Tego rodzaju zmiana dokonuje się, rzecz oczywista, nawet bez ingerencji niemieckich młodych historyków, ale w jaki sposób zależą od tego „nowe wątki myślowe” itp., do prawdy nie sposób się nie domyśleć. Ostatecznie młodzi autorzy dzieła, w poczuciu rzetelnej „wyczerpującej dokumentacji”, postąpili tak genialnie prosto, że aż oszałamiająco, po prostu postanawiając wykreślić z pola swego zainteresowania bogatą – co przyznają – literaturę polską. W ten sposób z niezrównaną łatwością, bez najmniejszego trudu naukowego stworzyli sobie „otwartą

sytuację badawczą”; w konsekwencji „autorzy niniejszej książki pod niejednym względem wkroczyli na dziewiczy teren”. Że takie dziewictwo nie przekonuje, nie trzeba dowodzić. Ale, jak widać, młodzi wszystko mogą, więc w dążeniu do „wyczerpującej dokumentacji” ograniczyli się do literatury niemieckiej, posługując się nią według założonych celów, dodajmy pseudonaukowych. Starsze pokolenie historyków niemieckich – szczerze lub nieszczerze – tłumaczyło się: „Polonica non leguntur” (np. *Deutsche Geschichte im Osten*, wyd. Norbert Conrads, Stuttgart 1994, s. 37), pokolenie młodsze nie uznaje takich ceregieli. W istocie młodzi historycy, tak jak się przedstawili w omawianej książce, głoszą stare, nacjonalistyczne i antypolskie tezy, tylko w sposób jeszcze bardziej radykalny niż autorzy niemieccy przed niemal 100 laty, ujmując je w postaci „szlachetnych” idei. Ponieważ tych pseudoidei nie można pogodzić z tym, co stanowi ich zaprzeczenie, dla kamuflażu posługują się swego rodzaju namową, co czyni ich wywody zagmatwanymi i niejasnymi.

Zaznacza się to już na początku pracy w podrozdziale „Śląsk jako pomost w Europie Środkowo-Wschodniej” (s. 19–21). Sama idea „pomostu” jest przekonująca i piękna, ale jej wykładnia w książce rozczarowuje i niepokoi. Bo oto autor pisze, iż Śląskowi „właśnie we współczesności przypada nowa rola pośrednika między narodami Europy Środkowej, który rozładowuje napięcia powstałe w trakcie burzliwych dziejów” (s. 21). Jakie napięcia współczesne, między jakimi konkretnymi narodami, w jaki sposób Śląsk dzisiejszy „rozładowuje” i co autor rozumie przez słowo „Śląsk”, na to nie ma w książce odpowiedzi. Z dalszych wywodów czytelnik dowiaduje się, że w istocie chodzi tylko o nowe werbalne ujęcie swego czasu głoszonego przez niemieckich autorów i niemiecką politykę Drang nach Osten i tzw. niemieckiej misji kulturalnej na wschodzie, w praktyce nade wszystko w Polsce. Czytelnik nie ma co do tego wątpliwości, gdy już na stronie 20 czyta: „Historyczno-przestrzenne uwarunkowania powodowały, że pośrednikiem ogólnoeuropejskiego (!) rozwoju społecznego był niemiecki szlachcic, duchowny, mieszczanin i wieśniak”. Tę niemiecką ogólnoeuropejską misję przypisuje się Śląskowi właśnie jako pomostowi. Żeby nie było wątpliwości, o jaki Śląsk chodzi, na stronie 33 głosi się, iż w wyniku osadnictwa na prawie niemieckim już od końca XII w. do około 1300 roku „z napływowych niemieckich, w mniejszym stopniu walońskich i flamandzkich chłopów i mieszczan, oraz osiadłych Słowian powstało krok po kroku nowe wschodniemieckie plemię Ślązaków”. Jest to znamieny przykład kreatywnych zdolności i inklinacji autora umiejącego „dowieść”, że w historii było nawet to, czego nie było, ale samemu autorowi to odpowiada i to się liczy na pierwszym miejscu. Owe „wschodniemieckie plemię Ślązaków” sprawia jednak pewne kłopoty, bo oto okazuje się, iż w XV wieku Niemcy ulegali na Śląsku sławizacji (s. 45). Jacy Słowianie przerobili tych Niemców na swoje, nie wyjaśnia się w książce, ale jakby w uzupełnieniu tego twierdzenia czytamy: „Mimo to (tzn. mimo sławizacji Niemców) nie doszło do powstania pełnej wspólnoty językowej Górnoślązaków i Polaków. Jako grupa mieszana Górnoślązacy wytworzyli własne poczucie przynależności” (s. 45). Przynależności – do kogo, do czego? Odpowiedzi brak. Sama zaś teza

nie znalazła w książce żadnego „udokumentowania”, nawet z powołaniem się na literaturę niemiecką, wbrew *naczelnej zasadzie* „wyczerpującej dokumentacji” zadeklarowanej we wstępie (s. 12). Trudno inaczej wytłumaczyć sobie twierdzenie o braku „wspólnoty językowej Ślązaków i Polaków”. Jest to czysty frazes. Bo w końcu jakie warunki musiałyby stworzyć historia, aby usatysfakcjonować autora i pozwolić mu na twierdzenie o takiej wspólnotcie? Autor nie życzy sobie takich warunków i jakiegokolwiek by one były, zawsze – ot tak po prostu – napisze, że takiej wspólnoty nie było.

Mimo wszystko dążenie do ukazania dziejów Śląska jako dziejów „czysto” niemieckich, w całej ciągłości historycznej, raz po raz rwie się. Wskazują na to rozważania dotyczące XVII i XVIII w. W tym czasie, jak stwierdza autor, zarysowały się różnice wyznaniowe między Dolnym a Górnym Śląskiem, „do czego przyczyniło się zróżnicowanie etniczne i językowe oraz wpływy z Polski” (s. 79). Tego nader ciekawego wątku nie rozwija się w książce, bo to autora nie interesuje.

Szkoda! Bo oto okazuje się, że czynnik „etniczny i językowy”, powiedzmy po prostu: czynnik narodowościowy, którego autor jakoś się wstydzi na tym miejscu, górował nad wyznaniowym, a „wpływy z Polski” jednak oddziaływały na kształtowanie się „wspólnoty językowej Górnoślązaków i Polaków”, bo realizowały się właśnie poprzez język i kulturę polską. Ale na taki wniosek nie pozwala zasadniczy nurt rozważań zabraniający dostrzegania wątków polskich. Prawda historyczna ma służyć wywodom zawartym w pracy, a jeśli nie służy, należy ją pominąć, a jeśli już całkowicie pominąć nie można, należy ją przedstawić tak, aby nie zakłócała dobrego samopoczucia autorów, ostatecznie ważniejszego od rzetelnie ukazywanej prawdy historycznej.

Zjawiska wyznaniowe w ich powiązaniu z kwestiami narodowościowymi są bardziej złożone, niżby to wynikało z wywodów w książce. Kwestiom wyznaniowym poświęca się w niej trochę uwagi począwszy od XVII w., zwracając uwagę nade wszystko na kontrreformację. Sposób jej ujęcia odślania awersję autora wobec katolicyzmu, a to chyba skłoniło go do pewnych przekłamań. Nie do przyjęcia jest stwierdzenie, że na początku XVI w. rada miejska Wrocławia i kapituła katedralna „przygotowywały założenie uniwersytetu katolickiego” (s. 57). Inicjatywa należała w pełni do rady, kapituła jej sprzyjała, a biskup odniósł się do niej obojętnie. W ujęciu autora wina za nieudaną inicjatywę spada jednak także na czynniki kościelne we Wrocławiu. Sposób, w jaki przedstawia się wysiłki jezuitów celem osiedlenia się ich we Wrocławiu, utworzenia tam własnych szkół, a w końcu także uniwersytetu, sugeruje, że jezuita nie napotykali przeszkód w tych swoich dążeniach, bo w końcu „punktem szczytowym było założenie 21 stycznia 1700 roku (sic!) uniwersytetu jezuickiego Leopoldina” (s. 72). Następnie, powołując się na pogardliwą wypowiedź urzędnika carskiego o „uniwersytetach jezuitów, którymi oni tylko władają”, kwituje się: „Zapewne podobnego zdania była rada Wrocławia, kupiectwo i cechy, które daremnie protestowały przeciwko powołaniu uczelni” (s. 72). Pogardliwa wypowiedź urzędnika, zapewne przeplaconego przez przedstawicieli rady, jest dla autora argumentem, ale ani słowem nie pi-

sze o tym, że członkowie rady byli protestantami, że odmienne wyznanie wyrosło ze sprzeciwu wobec katolicyzmu zaowocowało ślepą nagonką na jezuitów i ich uczelnię. Trochę odmiennie przedstawia się aspekty wyznaniowe w XIX w.

To, co niemieckie na Śląsku, wynosi się na najwyższe szczyty ogólnonieemieckie. Na przykład na stronie 113 stwierdza się, że jeszcze przed 1848 r. „Śląska stolica prowincji stała się filarem ruchu liberalnego na równi z Królewcem i Nadrenią”. Ale w następnym zdaniu pomniejsza się wartość i siłę liberalizmu wrocławskiego. Ostatecznie wymienia się tylko trzech jego przedstawicieli: radcę sądowego, hrabiego i socjalistę (Heinrich Simon, Edward von Reichenbach, Wilhelm Wolf). Na stronie 118 nadmienia się mimochodem, że polskie powstanie styczniowe „przyczyniło się do umocnienia samoświadomości mieszczaństwa” wrocławskiego, ale jak to rozumieć, nie wiadomo.

Dążenie do stworzenia dziewiczej przestrzeni dla swoich z góry założonych wyobrażeń zaznacza się w książce w konsekwentnym zacieraniu, wymazywaniu, eliminowaniu i na uznawaniu za niebyłe tego, co było, ale zdaniem autora być nie powinno w zakresie polskich aspektów w dziejach Śląska. Zabiegi te przedstawiają się szczególnie drastycznie w rozdziałach poświęconych dziejom XIX i XX w., kiedy kwestie narodowościowe, nade wszystko polskie, występowały na Śląsku szczególnie wyraźnie, wysuwając się w polityce na plan pierwszy. Autor jest konsekwentny w przeprowadzeniu swojego pseudohistorycznego założenia i również na gruncie XIX i XX w. przekonuje, że to, co polskie, wcale nie było polskie. W tym celu posługuje się zadziwiająco prostymi sposobami. Nade wszystko pomija, po prostu pomija prusko-niemiecką politykę antypolską, germanizację, brutalne zwalczanie języka polskiego, bezwzględne zwalczanie polskiej kultury narodowej na Śląsku, inwigilowanie Polaków na Górnym Śląsku, prześladowanie działaczy polskich – rodowitych Górnoszlązaków, prasy polskiej na Górnym Śląsku itp. Czytelnik nie znajdzie w książce słowa „hakata”, niczego nie dowie się o rugach pruskich, o urzędowych zarządzeniach godzących w język polski na Śląsku itp. Ponieważ spraw polskich nie dało się całkowicie ominąć i zamazać, autor posłużył się sposobem nazywanym w polskim przysłowiu odwracaniem kota ogonem, przyjmując założenie, że to, co polskie, w istocie nie było polskie. Raz po raz jednak natrafia autor na fakty podważające jego własne intencje i założenia, ale „gładko” przechodzi nad nimi do porządku dziennego, poprzez różne zmyślenia i banały. W rezultacie czytelnik spotyka się z piramidalnym bełkotem, z którego nic sensownego nie da się pojąć, poza nadrzędną w książce tendencją do „oczyszczenia” historii Śląska z tego, co polskie.

Omawiając dzieje Śląska w XIX w. autor z niezwykłą namiętnością wymienia wybitnych Ślązaków, którzy na forum ogólnopruskim i ogólnonieemieckim odegrali, według jego opinii, wybitną rolę. Na stronie 102 w formie pozamerytorycznego wtrętu nadmienia się, że słynny wrocławski publicysta Friedrich von Genz był na Kongresie Wiedeńskim, ale jaką tam rolę odegrał, o tym w książce ani słowa. W nurcie tej predylekcji wymienia się innego Ślązaka, Adalberta Krätziga, który po zdymisjonowaniu Heinricha Mülera na sta-

nowisku kierownika wydziału katolickiego w pruskim ministerstwie oświaty, zastąpił go, ale przecież niczego nie mógł zdziałać, bo wkrótce, po wybuchu kulturkampfu, „wydział” został zlikwidowany. Nawet szczegółowe niemieckie podręczniki do historii Niemiec XIX w. nie wymieniają nazwiska Krätziga (np. *Gebhardts Handbuch der Deutschen Geschichte*, t. II, Stuttgart 1931), ale w końcu był, choć króciutko wysokim urzędnikiem w Berlinie, a to pozwoliło autorowi na umieszczenie go w panteonie ogólnoniemieckim.

Książka jednak ani słowem nie wspomina prawdziwego wybitnego Prusaka i Niemca na Śląsku, polakożercy Wilhelma Mädlera, przez kilkadziesiąt lat tzw. komisarza granicznego w Bytomiu, czyli superpolicjanta zyskującego uznanie najwyższych władz państwowych na Śląsku, w Poznaniu i Berlinie, za pełne uporu i zaangażowania inwigilowanie i zwalczanie polskości na Śląsku. Według Bahleckiego polskości na Śląsku w ogóle nie było, a zatem nie istniał problem zwalczania jej. Mädler jednak na pewno był. Podobnie nie wymienia się w książce Rudolfa Küstera, również polakożercy, wysokiego urzędnika rejencji opolskiej, który kosztem państwowych środków rozwijał na początku XX w. szeroką działalność tzw. kulturalną, w istocie – germanizacyjną.

Autor bez żenady decyduje się na różne przekłamania, niedopowiedzenia, byle prusko-niemiecka „idea” wpisana do tekstu pracy wyglądała przekonująco, a nawet pięknie. Z książki dowiadujemy się – nie pierwszy raz w literaturze niemieckiej – że utworzony w 1811 roku uniwersytet we Wrocławiu – od początku nosił nazwisko Fryderyka Wilhelma, choć nosić zaczął je dopiero sto lat później (s. 99). Bardzo wysoko ceni się w książce kroki prof. Steffensa, który sfanatyzował (w książce: zmobilizował) studentów do wojny przeciw Napoleonowi, ale przemilcza się, że ogół profesorów tegoż uniwersytetu zdecydowanie sprzeciwiał się takiemu zaangażowaniu zarówno studiujących jak i profesorów. Podjęte po 1815 r. zjednoczenie wyznań protestanckich w Prusach, a więc i na Śląsku, jak czytamy w książce, było pomyślane jako „klamra duchowa spinająca prowincje zachodnie i wschodnie” Prus, a nieco dalej okazuje się, iż ta „klamra duchowa” była traktowana przez Fryderyka Wilhelma III „jako swoiste zwieńczenie reform administracyjnych” (s. 105). Opór luteranów na Śląsku przeciw owemu zjednoczeniu wyraźnie obnaża duchowe wyżyny jednoczenia wyznań, ale dla autora nie ma to wielkiego znaczenia. Pisząc o posłach śląskich do parlamentu frankfurckiego, zaznacza się w książce, iż wśród nich „nie było żadnego robotnika i tylko jeden chłop” (s. 116). Dlaczego mamy interesować się tym, że robotnika nie było, nie wiadomo, a co do chłopca, jeśli był tak niezwykłym wydarzeniem jako poseł we Frankfurcie, warto by przytoczyć przynajmniej jego nazwisko. Dla autora jest to nieważne, chyba dlatego, że chłopem tym był Polak Krystian Minkus, chłop ze wsi Tuły w powiecie oleskim, nie znający niemieckiego. Z niezwykłą starannością unika się w książce nazywania Górnoszlązaków Polakami. Określa się ich różnie: „dwujęzyczni Górnoszlązacy” (s. 186), „ludność polskojęzyczna”, „częściowo (?) wasserpolnisch” (s. 125), „polscy Górnoszlązacy” (s. 124, 129) itp. Na stronie 130 są „Polacy”, ale z kontekstu sądząc, nie wiadomo, czy odnosi się do Górnoszlązaków. Nie jest to „odkrycie” młodego pokolenia historyków

niemieckich, lecz powtarzanie tego, co w XIX w. głosiła pruska biurokracja, niemiecka propaganda, a za nią niemieccy historycy celem ukazywania w niemieckich kolorach tego, co niemieckim nie było. „Dwujęzycznych” uważano za Niemców, czyli znających, oprócz polskiego, język niemiecki, choć znali z niego najczęściej tylko po parę słów i zwrotów. Dla Polaków język niemiecki trudny był do przyswojenia, ale historycy niemieccy głosili i nadal głoszą, że Górnoszlązacy właśnie ten język znali znakomicie, a nie rozumieli jakoby języka polskiego zza kordonu, mimo że w rzeczywistości nie sprawiał im żadnych trudności. Jest to jedno z wielu niemieckich zakłamań historii Śląska, podtrzymywanych do dziś.

Prawdziwym majstersztykiem w maltretowaniu historii jest sposób przedstawiania ruchu polskiego i narodowych dążeń polskich. W książce nie używa się takich określeń, żeby czytelnik nie pomyślał, że coś takiego w ogóle było na Śląsku. „Wszystkie podejmowane po 1848 roku próby przeciągnięcia mówiących po polsku Górnoszlazaków na stronę Polaków z Poznania i Prus Zachodnich – czytamy w książce na stronach 125–127 – a tym samym związanie ich z polskimi dążeniami narodowymi, rozbiły się o ich lojalność względem Prus”. Dowodzić tego ma, jak się pisze w książce, upadek polskich stowarzyszeń i czasopism na Górnym Śląsku, „które powstały w czasie rewolucji”. W jaki sposób Polacy z Poznańskiego inspirowali wówczas powstanie owych organizacji polskich na Górnym Śląsku, o tym książka najdyskretniej milczy, podobnie jak o prześladowaniu działaczy polskich za czasów rewolucji przez reakcyjne Prusy, które w istocie doprowadziło do upadku – i to nie tylko polskich – organizacji.

Ale na kartach książki spotykamy się również z innymi sposobami „zmagania się” autora z ruchem polskim, tak aby wyglądało, że go w ogóle nie było. „Napięciom społecznym – czytamy na stronie 125 – grożącym wybuchem niepokoju towarzyszyły problemy narodowe, ponieważ przyrost ludności w polskojęzycznych powiatach Górnego Śląska był znacznie wyższy niż w powiatach niemieckich i w pozostałej części Śląska”. Jak te „problemy narodowe” określane jako „napięcia społeczne” rozumieć w związku z przyrostem naturalnym po stronie polskiej, przy „precyzyjnym” przeciwstawieniu powiatów „polskojęzycznych” powiatom „niemieckim”, tego po prostu nie da się rozszyfrować. Podobnie trudno sobie wytłumaczyć (autor tego nie ułatwia) faktu, że w czasie spisu 1910 roku „ludność polskojęzyczna” w rejencji opolskiej uznała język polski „za swój język ojczysty” (s. 125), nie popadając – dodajmy – w konflikty ze swym pruskim lojalizmem. Na stronie 130 spotykamy się z radykalnym odwróceniem tezy o tajemniczej zależności „problemy narodowych” od napięć społecznych. Okazuje się bowiem, że „w wyniku masowego akcentowania spraw społecznych konflikty narodowościowe i językowe straciły w rejencji opolskiej na znaczeniu” (s. 130). Czym było owo fantazyjne „masowe akcentowanie”, przez kogo dokonywane i w jaki sposób wynikały z tego tajemnicze w książce „konflikty narodowościowe i językowe” i jakie narodowości pozostawały w konflikcie, o tym głucho. Na tej samej stronie (130) spotykamy podobny przykład: „W przededniu I wojny światowej

raz jeszcze zdołano wyciszyć narodowopolityczne i językowe problemy Śląska". Kto „wyciszał” i jak, na czym polegały owe „narodowopolityczne problemy”, odpowiedzi brak. Ponadto samo „wyciszanie problemów” brzmi zagadkowo i nasuwa na myśl stosowanie przez władze pruskie środków represji. W przyptywie pewnego jakby zreflektowania się autor w końcu zrozumiał, że problemów wyciszyć się nie da, że nawet wyciszone, istnieją, bo, nawiązując do kulturkampfu, stwierdza: „... kulturkampf pozostawił głębokie rany w świadomości religijnej ludności katolickiej”. Jakże to były rany, odpowiedzi brak.

O samym kulturkampfie pisze się mętnie wskazując na dążenie Bismarcka „do wyraźnego oddzielenia państwa od Kościoła, aby tą drogą wyeliminować kościelne (czyli katolickie) wpływy na politykę” (s. 120). W istocie chodziło o podporządkowanie Kościoła państwu. Z książki dowiadujemy się, że „kulturkampf stał się ciężkim doświadczeniem szczególnie dla niemiecko- i polsko-języcznych katolików rejencji opolskiej”. Jednych i drugich odróżnia i zarazem stawia w tej samej sytuacji, przez co zupełnie zaciera się antypolskie ostrze kulturkampfu. Nic dziwnego, że o wyeliminowaniu języka polskiego z nauki religii w szkołach rejencji opolskiej we wrześniu 1872 roku, a więc w czasie kulturkampfu, wspomina się tylko mimochodem dopiero w nawiązaniu do wydarzeń o 30 lat późniejszych (s. 129).

W książce raz po raz spotykamy przeróżne zmienne sposoby zmagania się z problemem polskim. Na stronie 127 autor stwierdza: „Przed rokiem 1890 trudno mówić o samorodnym ruchu polskim w rejencji opolskiej”. Z tego wynika, że po tym roku „samorodny ruch polski” był, ale to autora nie interesuje. W wyjaśnieniu jednak czytamy: „Dopiero w latach dziewięćdziesiątych mocniej rysowała się kwestia przynależności narodowej...” (s. 127). Zatem wcześniej „kwestia” również się rysowała, tylko słabiej. W jakim sensie, nie wiadomo. Nieco dalej autor cofa się do roku 1885. „Problem narodowościowy – czytamy w książce – zaostriżył się w wyniku restrykcyjnej polityki Bismarcka po 1885 roku, a także pod wpływem aktywności wielu Polaków z Poznania, Prus Zachodnich i Galicji, którzy osiedlili się na Górnym Śląsku. Podjęli oni obok kwestii narodowych również politykę socjalną” (s. 129). W związku z tym znowu nasuwają się tylko pytania, pozostające bez odpowiedzi w książce: na czym polegała owa „restrykcyjna polityka” i kto ją prowadził, na czym polegał „wpływ aktywności Polaków” i jak z tego wszystkiego wynikał „problem narodowościowy”, jaki, i jak to się wiązało z „problematyką socjalną” (język wypowiedzi okropny, także na wielu innych stronach). Są to przykłady magii słów służących jedynie zamazywaniu prawdy.

Zdaniem Bahlekego problem polski stworzyła endecja Romana Dmowskiego i Wojciecha Korfanteo, o którym się nie pisze, że był Ślązakiem, tak jak o Niemcach ze Śląska, lecz że pochodził z Siemianowic. Dobre i to. W ujęciu autora była to potężna osobowość, oczywiście w jak najgorszym słowa tego znaczeniu, bo rozpętał szaloną agitację, w rezultacie w 1903 roku został wybrany do parlamentu niemieckiego i wstąpił do Koła Polskiego. Okazało się zatem, że agitacja Korfanteo była silniejsza od lojalności Górnoszlązaków wobec Prus, zwłaszcza że w jej wyniku Górnoszlązacy wybrali w 1907

roku aż pięciu posłów, którzy wstąpili do Koła Polskiego. W książce ten fakt tłumaczyć ma „socjalne, gospodarcze oraz polityczne upośledzenie polskich Górnoszlązaków” (s. 129). Dlaczego jednak polscy Górnoszlązacy, „lojalni” wobec Prus, byli upośledzeni w porównaniu z niemieckimi Górnoszlązakami?

Z głęboką satysfakcją stwierdza się w książce, że w 1912 roku sukces „polskich górnoszlązaków” z 1907 r. już się nie powtórzył, bo „już tylko 20,8% ludności Górnego Śląska opowiedziało się za polskimi kandydatami” (s. 129). W związku z tym autor również z satysfakcją przytacza – jak swoją – opinię centrowej „Oberschlesischer Kurier”: „Polski radykalizm otrzymał śmiertelny cios” (s. 129–130). W książce jednak pomija się, że w czasie kampanii przedwyborczej partii niemieckie rozpiętały niesłuchanie przedtem terror wobec polskich wyborców, co w wielu przypadkach uniemożliwiło głosowanie na polskich kandydatów. Chyba m.in. na tym polegało owo niezwykle „wyciszenie” problemu polskiego. Mimo to Polacy odnieśli sukces, choć mniejszy niż w 1907 roku, bo wybrali do parlamentu trzech posłów, o czym wszakże w książce nie wspomina się. Ponadto 30,8% wyborców to było dużo wyborców.

Zdziwienie autora z powodu „agresywnego polskiego nacjonalizmu z silnym nastawieniem antyniemieckim” (s. 141), w sytuacji gdy całkowicie pominął potworność antypolskiej polityki prusko-niemieckiej, jest nawet zrozumiałe z jego punktu widzenia, ale nieuczciwe.

W wyniku radykalnej determinacji w zakresie tworzenia „dziewiczej” przestrzeni historycznej na Śląsku autor z niezwykłą starannością pominął zagadnienie polskiej kultury i literatury. Darmo też szukać w książce nazwisk tak wybitnych postaci w dziejach Śląska, a przy tym działaczy i przywódców polskich, jak: Ficek, Szafranek, Lompa, Miarka i wielu innych.

Choćby krótką refleksję poświęcić trzeba rozważaniom snutym w rozdziale „II wojna światowa, ucieczka, podbój i wypędzenie”. Na samym wstępie rozdziału czytamy, że „wielkie akcje przesiedleńcze” zostały zapoczątkowane już w toku wojny, sięjąc terror i zniszczenie na obszarach zajętych przez oddziały niemieckie” (s. 179). Bardzo eufemistyczne to stwierdzenie. Nie pisze się bowiem o brutalnym wypędzaniu Polaków w myśl planów eksterminacyjnej polityki Niemiec wobec narodu polskiego, tylko enigmatycznie o „akcjach przesiedleńczych”. W rzeczywistości Polaków jak najbrutalniej wyganiano, przepędzano, rugowano, gwałtem przeganiano, organizowano prawdziwe polowania na nich, masowo mordowano, z premedytacją wyniszczano biologicznie.

Delikatne określenie „akcje przesiedleńcze” dokonywane przez Niemców stosuje się chyba tylko po to, aby „mocniej” brzmiało słowo „wypędzenie” zaanektowane przez literaturę, propagandę i politykę niemiecką w odniesieniu do ludności niemieckiej po 1945 roku. Przemilcza się przy tym, że „wypędzenie” Niemców ostatecznie było zawinione przez samych Niemców.

Przewrotnie brzmi twierdzenie, że „niemiecka polityka okupacyjna w Polsce i Europie Wschodniej dotyczyły wzoru, a dla narodów, które ucierpiały, oraz aliantów – także moralnego uzasadnienia takiego a nie innego traktowania Niemców po ich klęsce” (s. 180). „Niemiecka polityka w Pol-

sce...” była polityką eksterminacyjną i porównywanie jej z polityką aliantów wobec Niemiec i Niemców po wojnie i z narodami, „które ucierpiały” od Niemców, po wojnie jest po prostu nieprawdziwe i niemoralne. Taką samą wymowę ma powołanie się na opinię Leona Kruczkowskiego, „polskiego pisarza” – jak zaznacza autor, że przekonanie Polaków o „zbrodniczym charakterze” Niemców nie dotyczy ich wszystkich. Trudno w tym miejscu nie przypomnieć, że przewrót hitlerowski 1933 roku dokonał się przy demokratycznym poparciu olbrzymiej większości Niemców i zapytać, choćby retorycznie, ilu wśród tzw. „wypędzonych” ze Śląska popierało reżim hitlerowski? Jakby w uzasadnieniu, że nie było moralnego uzasadnienia „takiego a nie innego traktowania Niemców po wojnie”, stwierdza się w książce, że w hitlerowskim obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu byli więzieni także Niemcy i podaje się jeden jedyny przykład Edyty Stein jako Ślązaczki, przemilczając, że była Żydówką. Temu celowi służyć ma inny argument wskazujący na „Krağ Krzyżowej” jako „jeden z ośrodków niemieckiego ruchu oporu” (s. 180). Ale „Krağ” skupiał jedynie garstkę osób i miał znaczenie czysto symboliczne, bez najmniejszego znaczenia jako opzycja polityczna i jako „niemiecki ruch oporu”, którego po prostu nie było.

Na stronie 215 pięćkę „kulturtregerów”, do dziś mocno dziedzoną przez Niemców, z napastliwą ironią przerzuca się na stronę polską i podrzuca przybyszom „z innych dzielnic Polski na Śląsk” po 1945 r. Młodzi historycy niemieccy widocznie nie zorientowali się jeszcze, że po wojnie Polska nie była suwerenna, lecz komunistyczna, wbrew narodowi polskiemu, a jej władze polskojęzyczne przyjmowały do służby wszystkich deklarujących – szczerze lub nieszczerze – swoją akceptację dla ideologii marksistowskiej w PRL bezwzględnie obowiązującej urzędowo, i że wśród nich było wielu tych, których autor nazywa Ślązakami. Heroldowie ideologii gnębili i prześladowali, i tępiłi jednakowo całe społeczeństwo w kraju, nie tylko na Śląsku.

Nie można nie zwrócić uwagi na kiepskie, beztroskie, a nieraz niechlujne tłumaczenie, rażące błędy językowe, często zmieniające merytoryczny sens wypowiedzi. Oto niektóre przykłady: s. 73: „mandaty religijne”; s. 94: król pruski „wykształcił w sobie rezerwę wobec wyznania”; s. 99: „wszystkie duchowe strony Rzeszy”; s. 103: tłumaczenie artykułu Rongego „Rom und das Breslauer Domkapitel” – jako „Rzym i wrocławska katedra”; s. 111: „szeroki potencjał konfliktu”; s. 139: „rosyjska część Polski”; s. 215: „kulturtreägerzy”, s. 292: „zasada wielkiej własności ziemskiej”; s. 317: „zakonserwować społeczne znaczenie”; s. 322: „obecne jest pragnienie”; s. 337: „dobre pięćdziesiąt stron” i wiele innych.

Zaproponowana jako podręcznik książka Bahlckego nie ma żadnych cech podręcznika. Historia Śląska została w tym wydawnictwie przedstawiona tendencyjnie i świadomie fałszywie jako integralna część historii Niemiec, co oznacza historiograficzną aneksję Śląska. Sama aneksja nie ogranicza się do wymiaru historiograficznego. Ambicją autorów jest upowszechnienie dzieła ze względu na przesłanki polityczne (zob. wstęp). Adresowanie do polityki jest aż nadto przejrzyste. Pomijanie aspektów polskich lub ich brutalne wypacza-

nie daje obraz dziejów Śląska idealnie niemieckich, choć fałszywie niemieckich. Polityka może się powoływać na takie sugestie, nie weryfikując ich prawdziwości.

Książka zawiera mnóstwo twierdzeń uproszczonych, niejasnych, kłamliwych, przedstawionych chaotycznie, banalnie, przy przemilczaniu zwłaszcza polskich wątków wszędzie tam, gdzie nie pasują do wywodów autorów. Formułowane są arbitralnie, według zasady: *sic volo, sic iubeo, sit pro ratione voluntas*. Czytając książkę trudno oprzeć się przekonaniu, że autorzy stawiają na baczność rzeczywistość historyczną i rozkazują jej, jak ma przemawiać. Ostatecznie zdominowany przez Niemców „Śląsk jako pomost w Europie Środkowo-Wschodniej” (tytuł podrozdziału na s. 19) stał się pomostem „do kraju wojny” (zob. podrozdział na s. 168) przeciw Polsce. Autor ten pomost odbudowuje, ale ku czemu on dziś prowadzi?

Książka Bahlckego nie zasługiwałaby na szczegółowe omówienie, gdyby nie fakt, że zwłaszcza w ostatnim czasie autorzy niemieccy ogłaszają podobne w swej wymowie prace. Ustosunkowanie się do niej jest absolutnie konieczne. Krytyczne uwagi, nawet najśluszniesze, nie zmieniają ahistorycznej orientacji historyków niemieckich piszących o Śląsku. Wszakże nie można ich przemilczeć, bo oznaczałoby to ich akceptację.

prof. dr hab. Mieczysław Pater